

Brexit i co dalej?

31 marca 2017

Do momentu wyjścia „Brexit” nie ma jeszcze formalnego znaczenia. Podobnie jak w „Zielonej Gęsi” Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, kiedy to koniec świata faktycznie następuje, jednak nie ma formalnego znaczenia z powodu braku pisma z odnośną pieczętą.

BREDZENIE O BREXICIE

Brytyjczycy, nic się nie stało – mogą sobie teraz pośpiewywać przeciwnicy wyjścia ich kraju z Unii Europejskiej. I nie tylko na Wyspach Brytyjskich, ale w całej Unii, Polski nie wyłączając. Wbrew bowiem historycznym opiniom niektórych euroentuzjastów, wyjście jednego kraju, nawet tak znaczącego jak Zjednoczone Królestwo, nie musi powodować skutków na miarę dziejowej katastrofy. Ani Unia się nie rozpadnie, ani nie załamie się proces europejskiej integracji. Nie nastąpi ani krach brytyjskiej gospodarki ani też masowy powrót imigrantów, co najwyżej zostanie zahamowany ich przypływ co też nie jest całkiem pewne. Należy pamiętać, że Unia istniała sobie jeszcze przed przystąpieniem Wielkiej Brytanii i podobne będzie istnieć po jej wystąpieniu.

Mocno przesadzona wydaje się też być opinia Donalda Tuska, który w wywiadzie dla BBC stwierdził, iż „Brexit” oznacza „początek destrukcji nie tylko UE, lecz także europejskiej cywilizacji jako całości”. Z wynurzeń tych wynikałoby, że europejska cywilizacja rozpoczęła się wraz z traktatem z Maastricht ustanawiającym Unię, a do tego momentu cały kontynent to była jedna wielka dzicz. Wygląda na to, że Tuskowi po prostu puściły nerwy, kiedy uświadomił sobie, że pierwszy w historii przypadek wyjścia jakiegoś kraju z Unii przypadł akurat na jego kadencję przewodniczącego Rady Europy. Z kolei po otrzymaniu oficjalnego pisma rządu brytyjskiego o wszczęciu procedury wystąpienia Tusk z właściwą sobie

galanterią oświadczył: „dziękujemy wam i do widzenia”. Podobnie reagują i inni unijni politycy, którzy najpierw usilnie przekonywali Brytyjczyków do pozostania w Unii, a kiedy to nie wyszło, zachowują się trochę jak obrażone dzieci.

Nie tylko politycy zareagowali na wyniki referendum w sposób histeryczny. Dotyczy to także brytyjskich przeciwników „Brexit”u, którzy zaczęli się domagać powtórzenia głosowania zgodnie z zasadą „moje musi być na wierzchu”. Zachowali się tak jak austriaccy nacjonałiści, którzy wymusili powtórkę wyborów prezydenckich, ponieważ przegrał je ich kandydat. Jak widać, podważanie woli większości społeczeństwa ma w Europie walor uniwersalny niezależnie od orientacji politycznej.

Histeria objęła również nasze media, zupełnie tak jak gdyby Brytyjczycy głosowali za usunięciem Polski z Unii Europejskiej. Cameron nazwany został największym szkodnikiem XXI wieku, a jego decyzję o rozpisaniu referendum określono jako głupotę i brak odpowiedzialności. Takie podejście dostarcza argumentów prawicowym eurosceptykom, którzy teraz jawią się jako obrońcy demokracji. I jest to, niestety, jakiś argument. Skoro w referendum można głosować za przystąpieniem do Unii, to dlaczego nie za jej opuszczeniem?

Nie tylko „Brexit”, lecz sama jego perspektywa wywoływała uczucie paniki w prounijnych środowiskach. Ludzie myślący zdawali sobie zapewne sprawę ze stosunkowo mało groźnych, a już na pewno nie natychmiastowych następstw brytyjskiego wyjścia. A mimo to dęli w katastroficzne trąby. Zjawisko to trafnie ujął Włodzimierz Cimoszewicz mówiąc, że „Brexit” stanowiłby polityczny cios w samą ideę integracji. Potwierdził tym samym to, co niektórzy wiedzą, a o czym inni zapominają. Mianowicie, że Unia od początku była projektem politycznym, a nie ekonomicznym. A czym się kończy prymat polityki nad gospodarką Polacy wiedzą najlepiej. Przeżyliśmy bitwę o handel w początkach lat 50., kiedy to z politycznych motywacji niszczone prywatny drobny biznes oraz reformę Balcerowicza likwidującą politycznie niesłuszną własność państwową i

spółdzielczą. O wiele większe zamieszanie od „Brexitu” wywołałoby natomiast wyjście jakiegoś kraju ze strefy euro. Zdawał sobie z tego sprawę grecki premier Tsipras i dlatego musiał się ugiąć przed zmasowanym naciskiem ze strony Komisji Europejskiej i kartelu bankowego. Wielka Brytania, jak wiadomo, znajduje się poza eurostrefą w związku z czym „Brexit” nie będzie miał żadnego wpływu na unijną walutę.

LONDYN NIE CHCE DO NIBY-UNII

Cała procedura wychodzenia Wielkiej Brytanii z UE może potrwać co najmniej dwa lata, a być może nawet dłużej, jeśli w tym czasie obie strony nie uzgodnią wspólnie warunków „Brexit”u. Po definitywnym wyminięciu się z Unii Wielka Brytania mogłaby nadal pozostać w strefie Europejskiego Obszaru Gospodarczego (EOG), który tworzą państwa członkowskie UE oraz Norwegią, Islandią i Liechtensteinem. EOG jest zatem czymś w rodzaju niby-Unii, a kraje wchodzące w jego skład korzystają z większości dobrodziejstw przynależnych Unii Europejskiej. EOG obejmuje strefę wolnego handlu i unię celną oraz swobodny przepływ kapitału. Oznacza to, że rynek całej Unii pozostaje otwarty na bezcłowy import brytyjskich towarów, a polscy sadownicy mogliby nadal swobodnie sprzedawać swoje jabłka Brytyjczykom. Jednak w odróżnieniu od UE, w EOG nie obowiązuje Wspólna Polityka Rolna, nosząca angielski wdzięczny skrót CAP. Skorzystać mogą na tym brytyjscy rybacy czy też hodowcy, których nie będą obowiązywać nieprzekraczalne limity połowów ryb i produkcji mleka. Straci natomiast brytyjska królowa a wraz z nią i inni posiadacze gruntów rolnych, którym umkną bezpośrednie dopłaty do każdego hektara. Chyba że rząd w Londynie byłby na tyle hojny, aby zasilać ich z budżetu czyli pieniędzmi pozostałych podatników.

Przystępować do EOG Wielka Brytania jednak nie chce nie chce. Premier Theresa May niejednokrotnie deklarowała brak takiego zamiaru. Asekurowała się jednak stwierdzeniem, iż chciałaby zachować możliwie szeroki dostęp do wspólnego europejskiego rynku jednak na zasadzie zawarcia „śmiałej i ambitnej”, jak

się wyraziła, umowy o wolnym handlu z UE. Uspokajała też europejskich partnerów, iż chciałyby pozostać ich „dobrym przyjacielem i sąsiadem”. W podobnie proeuropejskim stylu wypowiedział się brytyjski minister spraw zagranicznych Boris Johnson deklarując, że Wielka Brytania będzie „w absolutny sposób” włączać się w europejską politykę zagraniczną i obronną oraz współpracować w zakresie bezpieczeństwa. Z tym „absolutnym sposobem” może być jednak problem, skoro szefowa resortu spraw wewnętrznych Amber Rudd oświadczyła, że Wielka Brytania prawdopodobnie wystąpi z europejskiej struktury policyjnej Europol, a posiadane informacje zatrzyma u siebie, dopóki nie zostanie zawarte z UE porozumienie w sprawach bezpieczeństwa.

POLACY DO DOMU?

Na dziś można powiedzieć, że Polakom nie grozi masowa deportacja z Wielkiej Brytanii, choć niektórzy nasi rodzeni politycy marzą o powrocie milionów naszych emigrantów na ojczyznę łono. Warto przy tym pamiętać, że polska emigracja na Wyspach Brytyjskich nie jest bynajmniej zjawiskiem nowym wywołanym łatwiejszym dostępem do tamtejszego rynku pracy. W Londynie są całe kwartały zamieszkałe przez Polaków od lat, z polskimi sklepami i polskimi konduktorami w autobusach. Moja kuzynka przez ponad 40 lat mieszkała w takim właśnie polskim getcie i nie nauczyła się mówić po angielsku, ponieważ nie było to jej potrzebne.

Perspektywa usuwania obcokrajowców z terenu Zjednoczonego Królestwa z powodu wystąpienia z Unii bardziej przypomina wróżenie z fusów niż prognozowanie sytuacji na podstawie realiów. A realia są takie, że Brytyjczycy potrzebują imigrantów do pracy. Żaden rozsądnie myślący przedsiębiorca nie wywali z pracy Polaka tylko dlatego, że nieznaczna większość jego ziomków zagłosowała przeciwko członkostwu w UE. Dotyczy to nie tylko naszych rodaków, o których los w patriotycznym uniesieniu drżą polscy domorośli politycy. W końcu w Wielkiej Brytanii obecnie przebywa na stałe ponad trzy

miliony osób z krajów unijnych i raczej trudno byłoby sobie wyobrazić ich masową wywózkę.

Poziom absorpcji zarobkowych imigrantów zależy bowiem w mniejszym stopniu od prawnych regulacji, w większym zaś od sytuacji na rynku pracy. Pozbywanie się imigrantów mogłoby się zacząć w momencie ostrego krachu gospodarczego, upadku wielu firm i gwałtownego wzrostu bezrobocia a nie na skutek wyniku referendum.

Zdarzające się brutalne ataki na pracujących w Anglii Polaków nie muszą natomiast świadczyć o jakiejś szczególnej niechęci do naszych rodaków. Jak pisze w tygodniku „Faktycznie” mieszkający w Londynie Jarosław Pietrzak, Polacy są bez porównania największą i najbardziej rzucającą się w oczy grupą europejskich imigrantów i właśnie dlatego głównie przeciwko nim kierowana jest agresja ze strony ogłupionych ksenofobiczną propagandą chuliganów. Należy jednak odróżniać ich bezmyślność od racjonalizmu przedsiębiorców, którzy tak długo będą zatrudniać cudzoziemców, jak długo będzie to dla nich korzystne czy wręcz niezbędne.

W żywotnym interesie Londynu jest zatem zachowanie dotychczasowych praw obywateli krajów członkowskich UE. Zwłaszcza, że jakiekolwiek uszczuplenie tych praw oznaczałoby automatycznie dyskryminację Brytyjczyków mieszkających i pracujących w Unii. Żaden myślący rząd (nie mylić z rządem polskim) nie pozwoliłby sobie na utratę poparcia ze strony 1,3 miliona swoich obywateli przebywających zagranicą. Dała temu wyraz zarówno Izba Lordów przegłosowując poprawkę gwarantującą cudzoziemcom zachowanie ich dotychczasowych praw, jak i składający się z deputowanych różnych partii komitet Izby Gmin ds. wyjścia z UE. Komitet jednogłośnie wezwał szefową rządu do zagwarantowania praw cudzoziemców. Jak uzasadnił to przewodniczący komitetu Hillary Benn z Partii Pracy, „Obywatele UE, którzy przyjechali, aby tu żyć i pracować mają szczególny wkład w rozwój ekonomicznego i kulturalnego życia zjednoczonego królestwa. Ciężko pracują, płacą podatki,

integrują się, zakładają rodziny i zapuszczają tu korzenie. Nie mogli głosować w referendum, jednak jego wynik powoduje, że żyją pod chmurą niepewności”.

MAŁA BRYTANIA

Następstwem wyjścia Wielkiej Brytanii z UE może być rozpad kraju na części. Rozpady takie, choć stanowią wydarzenia o daleko idących konsekwencjach, nie są we współczesnej Europie już żadną sensacją powodującą smutek i żal postronnych obserwatorów. Jakoś nikt z czołowych polityków, analityków tudzież publicystów nie biadolił nad rozpadem Związku Radzieckiego czy Jugosławii. Wręcz z radością witano pojawienie się nowych państw, nawet gdy, jak w przypadku Jugosławii, powstawały one w wyniku krwawych wojen a nie pokojowych referendum. Skoro mogło się rozpaść tak potężne państwo jak ZSRR, to dlaczego nie Wielka Brytania?

Skutkiem „Brexitu” są dywagacje na temat skutków ewentualnego przekształcenia się Wielkiej Brytanii w Małą. Bierze się pod uwagę to, że skoro większość mieszkańców Szkocji i Irlandii Północnej głosowała za pozostaniem w Unii, to te prowincje zechcą się teraz odłączyć się od Londynu aby w Unii pozostać. Gdyby północni Irlandczycy zdecydowali w referendum o separacji od pozostałej części wspólnego państwa, to tym samym wymusiłoby zmianę jego nazwy, która obecnie brzmi: Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Północnej Irlandii. Królestwo pozostałoby nadal być może zjednoczone, lecz już bez Irlandii. Dalszą konsekwencją mogłoby być połączenie z pozostałą częścią Irlandii dzięki czemu Północ automatycznie zachowałaby unijne członkostwo. Skoro mogły się połączyć Niemcy to dlaczego nie Irlandia? Ciało stałyby się słowa z piosenki The Beatles: „Give Ireland back to the Irish” (Oddajcie Irlandię Irlandczykom).

Bardziej skomplikowany może być przypadek Szkocji. Ewentualne ogłoszenie niepodległości nie musiałoby automatycznie oznaczać członkostwa w UE. Być może, jako nowo powstałe państwo Szkocja

musiałyby przejść całą procedurę akcesyjną. Sytuacja taka postawiłaby Unię przed ciekawym dylematem. W unijnych traktatach nie przewidziano bowiem tego rodzaju precedensów. Kłopotów z powodu rozczłonkowania państwa brytyjskiego nie mieliby natomiast działacze piłkarscy. Już od dawna Anglia, Walia, Szkocja i Irlandia Północna mają swoje własne federacje piłkarskie i ich drużyny stanowią samodzielne reprezentacje. Wygląda na to, że od polityków bardziej przewidujący byli futboliści.

PRZYCZYNY, SKUTKI I PERSPEKTYWY

Skoro większość Brytyjczyków opowiedziała się za wyjściem z Unii, to widocznie mieli oni ku temu mniej lub bardziej racjonalne powody. Przekonywanie, iż nad argumentami przeważały emocje czy wręcz, że Brytyjczycy nie wiedzieli za czym głosują – sugerują, że większość mieszkańców Wysp Brytyjskich to jakieś niekumate niemoty, bezkrytycznie przyjmujące to, co wciska im ksenofobiczna propaganda – niczym wyborcy PiS. Tymczasem tradycyjny stosunek Brytów do pozostałej Europy różni się od podejścia ze strony innych Europejczyków. Zawsze uważali, że Europa dzieli się na ich państwo i kontynent. Stąd też wynikały tradycyjne ciągotki izolacjonistyczne. Wielka Brytania długo zwlekała z przystąpieniem do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej podejmując stosowną decyzję dopiero wówczas, gdy utworzone przez nią ugrupowanie EFTA okazało się niekonkurencyjne wobec EWG. Będąc już w Unii starała się zachować możliwie największy margines swobody doprowadzając do powstania osobnych protokołów chroniących ich interesy oraz nie przystępując ani do strefy euro ani Schengen.

Izolacjonistyczna mentalność oraz archaiczna duma z dawnego imperium w jakimś tam stopniu przełożyła się na niechęć do Unii jako instytucji ponadnarodowej narzucającej krajom członkowskim biurokratyczne rozwiązania. W ocenie UE jako instytucji niedemokratycznej, gdzie wiążące decyzje podejmują niewybieralni urzędnicy a rola Parlamentu Europejskiego jest

mocno ograniczona, występuje zgodność pomiędzy skrajną prawicą i skrajną lewicą. Rzecz jednak w tym, że eurokrytycyzm obydwu tych orientacji politycznych wywodzi się z odmiennych przesłanek. Prawicowcy kładą nacisk na rzekome niszczenie tożsamości narodowej oraz rozbudzanie niechęci w stosunku uchodźców, sprzeciw wobec małżeństw homoseksualnych i prawa do aborcji. Eurokrytyczna lewica zwraca natomiast uwagę na to, że Bruksela więcej uwagi poświęca kwestiom rynkowym i monetarnym w mniejszym zaś rozwiązywaniu problemów socjalnych. Głos antyunijnej prawicy jest jednak bardziej słyszalny medialnie, zwłaszcza, że odwołuje się ona do emocji i prymitywnych instynktów.

„Brexit” wzmocnił również w pozostałej części Europy nastroje nacjonalistyczne czy wręcz rasistowskie. Mają w tym swój udział także zwolennicy UE. Obarczanie winą za „Brexit” głównie nacjonalistów paradoksalnie sprzyja bowiem ich nobilitacji jako siły zdolnej do dokonywania radykalnych zmian. Następuje odnowa nacjonalizmów destrukcyjnych z którymi mieliśmy do czynienia na początku lat 90. ubiegłego wieku. Nacjonalistyczna destrukcja doprowadziła najpierw do rozpadu Jugosławii a następnie Związku Radzieckiego i Czechosłowacji. Wówczas jednak, przynajmniej w tych dwóch pierwszych przypadkach, destrukcja ta spotkała się nie tylko z aprobatą, lecz wręcz aktywnym wsparciem czy nawet entuzjazmem ze strony zachodniego establishmentu politycznego oraz służebnych wobec niego mediów i analityków. Niszczono bowiem – jak w przypadku Jugosławii w sposób niesłychanie brutalny i bezwzględny – konkurencyjny wobec kapitalizmu ustrój polityczny. Wówczas nacjonalizmy były chwalone i hołubione, ponieważ nie zagrażały one ani spoistości tej „lepszego” Europy ani integralności terytorialnej poszczególnych państw. Strach graniczący niekiedy z histerią objawił się wówczas, gdy niektóre narodowości, jak Szkoci czy Katalończycy, pragnęli się usamodzielnąć. Integralność terytorialna stała się nagle niepodważalnym dogmatem górującym nad prawem narodów do samostanowienia. Hipokryzja przegrywa tu na całej linii z

konsekwentną logiką. Skoro prawo do samookreślenia ma rację bytu w odniesieniu do Kosowa, to dlaczego nie do Szkocji czy Katalonii?

Wspomniany wyżej dogmat odnosi się również do Unii Europejskiej, która wprowadzić może się rozszerzać w interesie jej obecnych formalnych a zwłaszcza nieformalnych władz, lecz nie ma prawa się zawęzić. „Brexit” napędził zatem niezłego stracha unijnym dogmatykom uważającym UE za niemal idealny przyszłościowy model europejskiej ponadpaństwowej integracji. Emocjonalna atmosfera nie sprzyja refleksji, nie pobudza do analizy przyczyn takiej właśnie decyzji Brytyjczyków, ograniczając się do lamentowania nad przyszłością UE. Nieliczne były głosy tych, którzy w wyniku referendum nie dopatrywali się jedynie zwycięstwa ksenofobii nad rozsądkiem, jednocześnie dostrzegając przyczyny tkwiące w samej Unii. Vladimir Golstein, profesor amerykańskiego uniwersytetu Browna, uważa, iż „Brexit” dał jasny sygnał, że „społeczeństwa są już zmęczone niekompetentnymi elitami” oraz „nie widzą korzyści z tego w jaki sposób USA, NATO i UE rządzą światem”. Wyprowadza z tego wniosek, że rozpoczyna się epoka sceptycyzmu w której „stare narracje nie będą już dłużej sprawowały władzy”.

Wnioski te można by uznać za zbyt ogólne, tym nie mniej nie tylko sam finał brytyjskiego referendum, lecz to, że w ogóle pojawił się taki pomysł powinno dać do myślenia tym wszystkim, którzy bezkrytycznie postrzegają UE jako swego rodzaju elitarny ideał i bezalternatywny model europejskiej integracji. Gdyby bowiem z członkostwem w UE wiązały się same plusy, to nikt nie proponowałby głosowania w sprawie opuszczenia Unii.

Samo zjawisko „Brexitu” należałoby rozpatrywać w szerszym kontekście pewnej krytycznej tendencji wobec Unii. Wyniki większości przeprowadzanych w ostatnich latach referendum były wyraźnie antyunijne. Dania w referendum wypowiedziała się przeciwko przystąpieniu do strefy euro. Traktat z Lizbony

odrzucały Francja i Holandia i mógł on wejść w życie dopiero po powtórnych referendum irlandzkim. Fakty te jednak nie dawały do myślenia unijnej wierchuszce. Panował papieski dogmat nieomyślności połączony z entuzjastyczną propagandą UE w obecnym kształcie. Potrzebny był dopiero szok w postaci „Brexitu” aby zaczęto poważnie zastanawiać się nad przyszłym kształtem europejskiej integracji.

Zaczęło to już docierać do świadomości przynajmniej niektórych europejskich polityków. Przewodniczący Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker wyraźnie stwierdził, że „Brexit” świadczy o tym, że „coś złego dzieje się w Europie”. Również premier Słowacji Robert Fico twierdzi, że „Brexit” stanowi odpowiedź obywateli Wielkiej Brytanii na złą politykę europejską”. W związku z tym „EU musi odpowiedzieć na pytanie co się zdarzyło i co było złe”. Z kolei czeski minister spraw zagranicznych Lubomír Zaorálek zauważył, że Unia powinna się skoncentrować na projektach, które mają praktyczny wpływ na życie zwykłych ludzi. Jeszcze dalej poszedł jego słowacki partner Miroslav Lajčák mówiąc, że „procesem odrodzenia Unii Europejskiej powinny kierować państwa członkowskie a w żadnym wypadku Komisja Europejska czy eurokraci”. – Decyduje się o wielu rzeczach, których ludzie nie rozumieją i mają poczucie, że niepotrzebnie regulujemy życie tam, gdzie nie jest to konieczne a z kolei nie zajmujemy się regulacjami tam, gdzie ludzie oczekują jasnych praktycznych odpowiedzi – mówił Lajčák. Jeśli ten sposób myślenia przyjmie się w najwyższych kręgach decyzyjnych UE, to może pojawić się szansa na reformowanie Unii w bardziej ludzkim a nie tylko rynkowo-fiskalnym kierunku. I taką korzyść mogą obywatele państw członkowskich UE wynieść z „Brexitu”.

Autorstwo: Bolesław K. Jaszcuk

Źródło: Strajk.eu